

KWIĄT NĘDZY

9 (Ciąg dalszy).

POWIEŚĆ.

Młody adwokat stał jak głaz nieruchomy i milczał, siła woli bowiem kochanki i jej despotyzm przemogły go i złamały. Nie spuszczał jednak wzroku z koperty, którą Marcelina obracała w rękę na wszystkie strony.

— Tu się znajduje ostatnie rozporządzenie mego męża. Nie wiem dlaczego drzę... dlaczego ta koperta pali mi dłonie.

— Połóż ją tam, zład ją wzięłaś... i zamknij kasę. Zrzeknij się milionów, które nie są twoją własnością, a które... chciej mi wierzyć... strasznie brzemiennie nieszczęście nas przygniotą. Dotąd, jak już powiedziałem, los nam sprzyjał. Dzięki dziwnemu zbiegowi okoliczności, uniknęliśmy sądu i kary, sumienia nasze jednak nie mogą być spokojne. Nie wywołujmy nowej katastrofy, która tym razem nie minie, bez pozostawienia po sobie groźnych i zgubnych dla nas śladów.

Słuchając Kazimierza hrabina miała kopertę w rękę. W końcu rozdarła ją zniecierpliwiona.

— Stało się — rzekła — stało... mimowoli.

Powstała z miejsca, zbliżyła się do kominka i kandelabrow, i przy ich świetle czytała drżącym głosem:

„To mój testament.

„Umieram, nie pozostawiając po sobie ani przywiązania, ani żalu, zapisuję więc cały mój majątek warszawskiemu Towarzystwu Dobroczynności.
„Edward hrabia Jelski.“

Zdziwienie odmalowało się na obliczu Marceliny. Po chwili szepnęła z goryczą:

— Mój mąż nieboszyk zapisuje całą swą fortunę Towarzystwu Dobroczynności, mnie więc wydziedzicza... mnie, która starcowi rozpustnemu oddałam młodość i piękność moją! Nikczemnik!... Gdybym tego papieru nie znalazła, wykwitowałoby mnie stoma tysiącami rubli, przyznanymi mi w intercyzie ślubnej... Dla mnie tylko sto tysięcy!

— Zastanów się Marcelino. Zagarniając to, co się tu znajduje, wydziedziczasz ubogich! Obowiązkiem twoim najświętszym jest złożyć testament w sądzie i nie ruszać niczego.

Marcelina wzruszyła ramionami pogardliwie.

— Później... nie mówię... zwrócę może Towarzystwu Dobroczynności część majątku, znalezione go w tej kryjówce, lecz teraz wydrzeć go sobie nie dam! Ani słówka nie pisnę nikomu o testamentie, choćby tylko ze względu na bezpieczeństwo nasze. Gdybym go złożyła w sądzie, zapytałoby mnie, w jaki sposób go dostałam... i byłabym zgubioną. Wszystkie podejrzenia odżyłyby naraz.

— Niestety, masz słuszość! — jęknął Kazimierz.

— Mam zawsze słuszość — rzekła hrabina patrząc na młodzieńca i uśmiechając się ironicznie. — To też polegaj na mnie i pozwól, żebym tak ciebie jak i siebie broniła, bo przecież rozumiesz chyba, że idzie tu o naszą miłość i o nasze życie.

Oparła głowę na ramieniu Molskiego i szepnęła cicho:

— O! ty sobie nie zdajesz sprawy z szalonej mojej dla ciebie miłości. Od chwili, w której po raz pierwszy cię ujrzałam, zniecierpliwiona mego męża, a nienawiść ta, przy męczarniach, jakie mi zadawał, ukrywając przedemną, los mego dziecka, wzrastała codziennie. Serce moje pożerała zgryzota, łyzy gorące wypalały oczy... Spotkawszy cię, sądziłam, że widzę anioła, który rozpacz moją zrozumie i pocieszy... pocieszy. Dlatego narzuciłam ci się z miłością... więc teraz kochać mnie musisz całą duszą, nad wszystko!

— Bo miłość nasza i zbrodnia wspólnie dokonana, wiązała nas na zawsze — rzekł młody człowiek, pochylając chmurne czoło.

Ona zaś słodkim głosem mówiła dalej:

— Widzisz... mnie się zdaje, że zbrodnia nasza, to tylko przykry sen. Wprawdzie zamordo-

wałam, lecz nie wiem, jak się to stało... Śniłam, śniłam pewnie, a teraz nic nie pamiętam. Dlaczego ty, mężczyzna, gdy w szale, niezrozumiałym dziś dla mnie, dawałam nikczemnika... dlaczego mnie nie powstrzymałeś?

Zimny dreszcz przebiegł ciałem Kazimierza.

— Cóż myślisz teraz uczynić? — zapytał.

Ona spojrzała na niego z udanym zdziwieniem.

— Co myślę uczynić?... Ależ przede wszystkim spale testament, zamienię go w popiół drobnutki, drobnutki. Potem zabiorę wszystko, co się w kasie znajduje... perły, złoto, dyamenty, banknoty i papiery wartościowe...

To mówiąc, papier trzymany w ręku zapaliła od świecy i płonący rzuciła w kominek. Testament palił się naprzód bujnym płomieniem, następnie skurczony tlił powoli. Gdy już nie pozostało z niego ani szczątka, radością zajaśniały jej oczy.

— Czy widzisz, co się stało z wydziedziczającym mnie szpargałem?

— Teraz przychodzi kolej na kradzież — syknął przez zaciśnięte zęby Kazimierz, jak trup blade — a ja, teraz i zawsze, jestem twoim współnikiem. O, przekleństwo jakieś ściga nas oboje!... Przecież jesteś matką opuszczonego i prawdopodobnie znoszącego biedę dziecięcia, jak tyle innych dzieci do niego podobnych, którym pragniesz wydrzeć ich mienie. Marcelo! zaklinam cię na miłość dla twego syna, ulituj się nad wydziedziczonymi.

— Dziecko moje cierpi, dziecko moje nieszczęśliwe, więc co mnie inne obchodzić mogą! Nie, nie! litować się nie będę. Myślę tylko o moim synu. Chcę użyć tego, co tu leży na odszukanie go jak najrychlejsze. Powiedziałeś kiedyś, że się sprzedała wstrętnemu starcowi. Dobrze zrobiłam; teraz widzę, że dobrze zrobiłam! Mam za co zbawić i uszczęśliwić mego syna.

To mówiąc siadła, zakryła twarz rękami i rozpłakała się rzewnie. Łzy, przeciekając przez palce, jak grad toczących się pereł, spadały na jej łono. Kazimierz z głębokim wzruszeniem patrzył na młodą kobietę.

— Marcelo! — zawołał, chwytając ją za rękę — Marcelo! spojrzysz na mnie. Wiem, że jesteś dobra, tylko szal piekielny rozpętał w twojej ślicznej główce jakąś straszną burzę i pomieszał ci zmysły. Ubóstwiam cię całą siłą pierwszej w moim życiu namiętności. Patrz na mnie! Chcę widzieć w cudnych oczach twoich znamiona tego szalu, który popchnął cię do zbrodni, a teraz rzuca nas oboje w otchłań wspólnej zguby. — Zamyślił się i szepnął po chwili. — Co się stało z białym sznurem jedwabnym? Miałas go jeszcze wczoraj na sobie. Trzeba go spalić, jak spaliłaś testament. O, Marcelo moja! Teraz znowu mnie się zdaje, że oszalałam... Drzę, obawiam się, lękam...

Ona wzruszyła ramionami i rzekła tonem poważnym:

— Przeszłość, jest przeszłością. Już jej nie zawrócimy. Minęła... minęła dawno. Teraz musimy myśleć o przyszłości. — Powstała i wskazując na kasę powiedziała stanowczo. — Trzeba to wszystko zabrać zaraz.

— Zaklinam cię Marcelo!

— Nie lękaj się. Nie myślę mieniać papierów natychmiast, ani sprzedawać brylantów, których za nic w świecie nie wzięłabym na siebie. Uczynimy to razem, później, znacznie później. Możesz być spokojny, będę ostrożną... bardzo ostrożną.

W oczach tej kobiety wyczytać było łatwo mocne, niewzruszone postanowienie, oparte na z góry ułożonym planie. Z zadziwiającą logiką odpowiadała na każdy zarzut; z każdej przedstawionej sobie trudności wskazywała natychmiast bezpieczne wyjście. Kazimierz czuł, że cofnąć się nie

może. Współudział w zbrodni wiązał go z nią na całe życie. Rzekł jednak jeszcze:

— Pałac ten już nie należy do ciebie... a dobra ziemskie zmarłego zabiorą spadkobiercy...

— Dlaczego?

— Bo niema testamentu, któryby ci je przyznawał.

— No, to zadowolnię się tem, co jest w kasie! — rzekła gorączkowo, wsuwając ręce w głębi kryjówki.

Zamknęła mu usta. Kazimierz nie chciał mówić więcej. Nie miał już sił do walki i dłuższego oporu, Zamroczyło mu się w oczach, jakby nagle ujrzał przed sobą czarną, bezdenną przepaść, która prędzej czy później musi pochłoniąć oboje. Czuł, że Marcelina panuje nad nim wszechwładnie. Hipnotyczną jakąś siłą pozbawiła go woli. On, syn człowieka bez skazy, wnuk i prawnuk całego szeregu zacnych przodków stał się dla niej i przez nią zbrodniarzem-złodziejem. Jak pijany spogląda na kochankę, wydobywającą z kasy pakiet po pakiecie, rulon po rulonie, pudełko po pudełku. Ustawiała wszystko na stole i na kawałku czystego papieru sumuje wartość i cyfry wyjętych kapitałów i klejnotów. Gdy skończyła, szepcze z radością:

— Milion ośmkrát sto tysięcy... To wcale ładnie. Nie spodziewałam się, że będzie tyle. Więc jesteśmy bogaci, możemy żyć po pańsku, nie lękając się przyszłości. Przytem młodzi jesteśmy i kochamy się... kochamy! Jutro, jeśli zapragniem, spełnić się mogą marzenia nasze; jutro, połączyć się możemy węzłem małżeńskim i śmiało całemu światu spojrzeć w oczy!

Kazimierz milczy ciągle, ona szepcze dalej:

— O, za pieniądze użyjem wszelkich upoięń i rozkoszy!... Boga! bogaci! Czy pojmujesz ile radosnych zapowiedzi mieści się w tym wyrazie?! Jeśli zechcesz, opuścimy Warszawę, wyjedziemy zagranicę... albo, jeśli rozkażesz, kupimy chatę w górach, a tam oddani duszą i ciałem wzajemnej miłości, zapomnimy łatwo o czarnych myślach, które nas tu trapią!

Młodzieniec usiadł i milcząc słuchał. Głowę zwiesił na piersi, a blade jego wargi drżały jak w febrze. Ona spostrzegła nareszcie, jak strasznie cierpi i objęła szyję Kazimierza ramieniem.

— Uczynię, co zechcesz, wszakże jestem twoim niewolnikiem — szepnął.

— Ty, moim niewolnikiem! — zawołała, kłękając przed nim. — Nie, to ja jestem twoją niewolnicą. Ty zaś moim kochankiem, moim panem, jedynym człowiekiem na świecie, którego kochałam i kocham; jedynym, który zna najskrytsze myśli moje; jedynym, dla którego dusza moja nie jest zagadką i tajemnicą. Tak, tak... to ja jestem twoją poddanką i sługą, bo cię uwielbiam, bo cię ubóstwiam!

Głos jej brzmiał mile, jak kołysanka, śpiewana nad usypiającym dzieckiem, a dźwięk jego mieszał mu zmysły, upajał go, odurzał.

— Masz słuszość! — powtarzał. — Ani ty, ani ja, nie jesteśmy zbrodniarzami. Broniliśmy naszego wspólnego szczęścia... musieliśmy go bronić. Nie my, lecz fatalność sprawiła, że ręce nasze krwią splamione... Przeczniczenie nami kierowało...

— Nareszcie, mój drogi, mówisz rozsądnie!

Ustami płomiennymi dotknęła jego czoła.

— A teraz, zabierzmy ztąd moją zdobycz — rzekła, syjąc papiery, złoto i klejnoty do kosza, stojącego przy biurku. — Majątku naszego nie możemy pozostawić w kasie, bo dziś lub jutro gotów kto odkryć kryjówkę. Przenieś kosz do buduaru. W ciągu dni kilku przechowam wszystko u siebie, a potem pomyślimy co zrobić.

Druga biła na zegarach pałacowych, gdy Kazimierz zdobył się nareszcie na pożegnanie Marceliny.